

„Niewidzialny”

Wyobraź sobie, że cię nie widać...

~*~

Za dzieciaka kilkakrotnie chciałem zniknąć. Czułem się źle, lęk zaglądał w głąb mojej świadomości. Jednakże kiedy podrosłem i uświadomiłem sobie, że ludzie istotnie mnie nie widzą, pragnąłem całą duszą, by to się zmieniło. Nie przeszkadzało mi, że byłem... jak by to nazwać... przeciętnie wyglądający. Niewysoki, szczupły, trądzik, okulary i te kretyńskie czarne loczki. Lustro nie było mi przyjacielem, a mojemu Losowi najwidoczniej przeszkadzałem. Od momentu, w którym przyszedłem na świat.

Matka zmarła przy porodzie, a ojciec usiłował mnie ignorować. Jak wszyscy. Raz tylko powiedział, że z chęcią podążyłby za ukochaną żoną, gdyby wiedział, co spłodził. Poza tą jedną sytuacją traktował mnie jak klienta hotelu – ot, wchodzi ktoś do domu, śpi, je i wychodzi. Musiałem niezłe nawywyjać, żeby zaszczylił mnie słowem.

Przez trzy lata gimnazjum żyłem złudzeniami, że szkoła średnia odmieni moje życie. Doroślejsi ludzie, poważniejsze sprawy, inne środowisko. Miałem nadzieję zakręcić się przy jakiejś panience i zaznać szczęścia. Czekałem cierpliwie na odmianę losu, bowiem „los się musi odmienić”, jak śpiewał Kazik Staszewski.

Nic. Nie zmieniło się zupełnie nic.

Prawie czterdziestoosobowa klasa i wszyscy mieli mnie głęboko w dupie. Nikt nie prosił o pracę domową, pomoc na klasówce czy pożyczanie kilku drobniaków na sok czy bułkę. Nikt nie pytał czy mam szlugi i czy idę po szkole na piwo w plener. Tylko nauczyciele się do mnie odzywali, tylko po nazwisku i tylko wtedy, kiedy (o zgrozo!) trzeba mi było postawić jakąś ocenę. Wywoływali mnie do odpowiedzi, zadawali pytanie i bez słowa stawiali kompromisową trójczynę, kiedy już coś tam wydukałem. Aby tylko mieć spokój i nie musieć mnie zaczepiać przez resztę półrocza.

Tak minął prawie cały rok szkolny. Najistotniejszymi zmianami był zarost i nowa legitymacja szkolna, którą zdzira z sekretariatu z wielką łaską i niemym nakazem złożenia podpisu wręczyła mi tydzień po rozpoczęciu lekcji. Oczywiście musiałem się tam pofatygować, bo przewodniczący klasy – jak on to powiedział? – zapomniał wziąć. Gubiłem rachubę nieodrobionych zadań domowych, o których informacja do mnie nie dotarła, i odwołanych zajęć, na jakie przyjechałem.

Tego było za wiele. Milcząca tolerancja „kolegów” i „koleżanek” z klasy doprowadzała mnie do szału. Pod koniec roku szkolnego stwierdziłem, że będzie tego, że zrobię w końcu coś, co przełamie czar niewidzialności, jaki zdawał się mnie otaczać.

Wziąłem z garażu łapkę i pół litra benzyny. Na środkowym korytarzu narzędziem wyrwałem kilkanaście klepek i ułożyłem w harcerski stosik, który oblałem benzyną i podпалиłem. Siedziałem przy nietypowym ognisku i ostentacyjnie grzałem przy nim dłonie jak bezdomny przy kosiaku.

Przechodzący obok ludzie przystawali, patrzyli na moje dzieło i szli dalej. Nie miało znaczenia, nauczyciel czy uczeń, każdy jednakowo olewał mój trud. Jedyne sprzątaczką wykazała inicjatywę, gdy zdjęła z uchwytu gaśnicę i w mniej niż minutę zgasila gorejący na podłodze płomień mojej nadziei.

Nie istniałem.

Ojciec dostał pismo ze szkoły, że jego synek został zawieszony w prawach ucznia, a za zniszczenia należy uiścić karę. Nie wiem dokładnie, ile wynosiła, ale najwidoczniej nie dość dużo, żeby to trzepnęło starego po kieszeni, ale dość, by raczył się do mnie odezwać.

Kipiałem. Zachodziłem w głowę: „O co do cholery chodzi?”. Przecież to nienormalne. Rozumiem, że mój wygląd nie zniewalał dziewcząt, ani nawet zdesperowanych paszтетów, a charakter nie pozwalał uważać mnie za kogokolwiek wartego głębszego poznania, ale wydarzenia wokół mnie przechodziły ludzkie pojęcie. Maturę zdałem przeciętnie, co przeszło bez echa i pozwoliło na studia w jednej z podrzędnych placówek szkolnictwa wyższego w tym kraju, gdzie kasa z dotacji za studenta jest ważniejsza niż sam student.

Wtedy pojawił się głos.

Nie wiem, do kogo należał. Kiedy go słyszałem, wokół mnie nie było żywej duszy. Raz przechodząc przez park, myślałem, że słyszę mowę zwierząt, lecz szybko przekonałem się, że to nie to. Zwierzaki, które pierzchały na mój widok, nie mogły słać do mnie takich słów. Chociaż... cholera wie. Ktokolwiek to sprawdził?

Potem przyszło mi na myśl, że mam schizę, od samotności zaczyna mi odbijać, a w moim zbzikowanym łbie załęgło się jakieś paskudztwo, które do mnie gada. Niewidzialny przyjaciel, czy coś w tym rodzaju. Psychoza maniakalna, rozdwojenie jaźni, zaburzenie dwubiegunowe. Takich odpowiedzi udzielał mi Internet na pytanie: „Skąd głos w mojej głowie?”.

Szeptał bardzo przekonującym tonem: „Jesteś nasz, zabij się, nic nie znaczysz, nic nie jesteś wart, zabij się” i tak w kółko jak mantra. Nie powiem, kilka razy wcześniej przeszła mi przez myśl idea popełnienia samobójstwa, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważy.

Zrezygnowałem. Moje życie, choć marne, nie było warte tego, żeby poświęcić je w tak idiotyczny sposób, by się dowiedzieć, że ludzi tak samo obeszała moja śmierć, jak chociażby los planktonu w bebeczach płetwala błękitnego.

„Kto wypowiada te słowa?” – myślałem. Niby kojarzyłem coś z lekcji religii, że Szatan kusi obietnicami. Nigdy jednak nie sądziłem, że ma to miejsce w tak bezpośredni sposób. Nie spodziewałem się również nakazu: „Zabij się”, raczej: „Oddaj nam duszę, a niczego ci nie zabraknie”. Jeśli to był Szatan, to nie robił sobie najlepszego PR-u.

Choć z drugiej strony... Miał trochę racji. Jego słowa, jak ziarno z przypowieści, padało na żyzną glebę. I dawało plon obfity. Samobójstwo? Nie należy samemu odbierać sobie życia. Jeśli już ktoś to zrobił, to dlatego, że życie legło mu w gruzach. Abstrahuję od emo-niedoprecyzowańców, którzy zabijają się... nie wiem po co. A właściwie tylko ciachają sobie ręce, jakby to miało w pełni ukazać ich weltschmerz, albo nabytego pierdolca z powikłaniami, jakkolwiek to zwać.

Ten głos... „Nic nie znaczysz”, „Nic nie jesteś wart”. Może nie powinienem był się urodzić? Może tak naprawdę to nigdy nie nastąpiło? Jakby ktoś porozwieszał billboardy z moją głową i afiszował: „Ten człowiek nie istnieje”. Albo jakby ludziom płacili za ignorowanie mnie. Może przesadzam, może zgorzknienie wywołane chroniczną samotnością daje w ten sposób o sobie znać? Może wyolbrzymiam, żeby choć na moment poczuć się kimś ważnym? Może myślenie: „Jestem najbardziej niezauważalnym człowiekiem świata” to rozpaczliwa próba podbudowania ego? Może. Ale faktycznie – niewiele znaczyłem dla świata.

Wtedy...

Pewnego dnia zatęskniłem za moją niewidzialnością. Podówczas klątwa dziewictwa doskwierała mi, jak piekący wrzód na środku pódupka.

Nie przejmując się niczym, nie znając tak naprawdę realiów, ruszyłem do boju o wielką stawkę. Podszedłem do dziewczyny uważanej za najpiękniejszą na roku, zmierzyłem ją wzrokiem, jakbym zdejmował oczami miarę niczym krawiec. Dżinsowa spódniczka do połowy uda była jednocześnie seksowna i elegancka (nie wiem, czy to możliwe, ale takie wrażenie odniosłem). Kurteczka z tego samego materiału idealnie z nią współgrała. Obcisła, biała bluzka z nadrukiem: „DO YOU WANT ME?” podkreślała jej fizyczność. Kontury foremnych piersi sugestywnie, lecz nienachalnie rysowały się pod tkaniną. Sylwetka i nienaganny ubiór pozwalały zapomnieć o wytapetowanej jaszczurzej gębie z ustami ułożonymi w małpi dzióbek i włosach koloru dziwkablond z postępującymi odrostami. Stałem naprzeciwko niej bez cienia emocji, a kiedy jej wzrok na mnie spoczął, spytałem, czy się ze mną umówi.

Monisia spojrzała na mnie jak na eksponat z muzeum Strefy 51, a w jej oczach dostrzegłem... pogardę. Jakbym był śmieciem, który przypadkowo wypadł z przepelnionego odpadkami kontenera. Prychnęła jedynie, że takich leszczyków, to ona ma na pęczki i żebym się bujał.

Może to narastające brzemię dziewictwa zagłuszyło mi rozsądek? Przecież na dobrą sprawę, gdybym tak koniecznie chciał się rozprawczyć, odłożyłbym parę stówek i wynajął kobietę, która całą noc będzie udawać, że mnie kocha. A może to chęć przełamania bariery niewidzialności? Mam, co chciałem. Zostałem zauważony i jednym prychnięciem sprowadzony do psychicznego parteru. To był moment, w którym człowiek uświadamia sobie, że to koniec wszystkiego i nie warto dalej żyć.

Co mnie czekało? Tylko śmierć. Tylko ona miała jakiegokolwiek znaczenie. Studia? Napisałbym pracę, zrobiłbym dyplom. Potem robota, jakaś taka gówniana, której wykonywanie nie zmienia świata ani znacząco nie wpływa na status majątkowy. Kobiety? Kto wie, a nuż znalazłbym babę, co mnie zechce, spółdziłbym potomka i przeżyłbym resztę życia w upierdliwej stagnacji. A może rozwiódłbym się z żoną, poderwałbym koleżankę córki i zaczął jarać trawę, jak koleś z „American beauty”? Nie, raczej nie. Która by mnie zechciała? Musiałbym mieć naprawdę dużo pieniędzy. Najpewniej skończyłbym jako pozbawiony perspektyw kawaler, którego jedyną kochanką przez całe życie była ręka.

Wymieniłem coś ciekawego? Wątpię. Więc po co odwlekać moment śmierci, skoro po drodze nic interesującego mnie nie spotka?

Szedłem ulicą pogrążony w tych rozważaniach. Kurdę, czemu Monika? Mogłem spytać każdą inną. Odmówiłaby pewnie tak samo, jak ta pompa, ale może by mniej bolało. W sumie ktoś mądry kiedyś powiedział: „Jak kochać, to księcia, jak kraść, to miliony”, ale znowu inny rzekł: „Im wyższe loty, tym boleśniejszy upadek”. Co począć?

Z zadumy wyrwał mnie odgłos upadku... nie, pierdolnięcia w samochód, jakby ktoś z dziesiątego piętra wyrzucił telewizor. Nie telewizor – lodówkę. W aucie wgniotło dach, powywalalo poduszki powietrzne. Uszy przeszywał jazgotliwy pisk alarmu. Wokół było kilka osób, których uwagę przykuło owo niecodzienne wydarzenie. Każdy z nich chciał poznać przyczyny osobliwego zjawiska. Kłótnia rodzinna? Akt wandalizmu? Zemsta teściowej? Ja stałem najbliżej, więc znalazłem się przy samochodzie jako pierwszy. Zerknąłem we wgniecenie i coś ścisnęło mnie za trzewia.

W zagłębieniu leżał człowiek.

Tego dnia włożył na siebie lśniący garnitur, jakby prosto z salony Prady, i jeszcze bardziej lśniące lakierki. Spod mankietu marynarki wystawał złoty zegarek. Włosy nażelowane jak Cristiano Ronaldo, lecz runięcie zniszczyło fryzurę.

Samobójca? Najpewniej. Kto inny skakałby na ulicę? I po co? Spadochronu w każdym razie nie widziałem. Garniak wyglądał na drogi, markowy, z tych, co politycy w nich paradują. Buty tak samo. Reprezentacyjny wygląd pewnie był ważnym elementem życia tego gościa. Może właśnie się dowiedział, że cała jego forsa przepadła? George Jung też miał miliony i jednego dnia przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności zbankrutował. Może żona się puściła, zabrała cały hajs i uciekła z ogrodnikiem, który wygląda i dupczy jak gwiazdor porno? Swoją drogą, jakim trzeba być idiotą, żeby kogoś takiego wynająć do strzyżenia trawnika, kiedy żona zostaje na całe dni sama w domu?

Nie dostrzegłem zewnętrznych obrażeń. Może w środku mu się coś stało? Krwotok wewnętrzny? Złamanie? Perforacja opłucnej? Głowę nawiedzały mi lekarskie terminy, których mimowolnie nauczyłem się z niedzielnych seansów z „Na dobre i na złe”. Co wobec tego powinienem zrobić? W pierwszej kolejności sprawdzić czynności życiowe, oddech i przytomność. Potem zadzwonić na pogotowie, następnie rozpocząć resuscytację krążeniowo-oddechową i czekać na przybycie ratowników.

Wyjąłem telefon z kieszeni i wklepałem numer alarmowy. Zanim nacisnąłem zieloną słuchawkę, usłyszałem rżenie.

- Neeee... Neeee.

Co to, kuźwa? Kto wzywał mnie do zaniechania obywatelskiego obowiązku? Gapie milczeli, jak zwykle ma to miejsce w takich sytuacjach. Spychologia znieczulicowa. Wtedy zauważyłem ruch. Krawaciarz, który przed chwilą prawie sprasował furę, ruszał się niemrawo. Co do... Powinien być nieprzytomny albo martwy, czy coś. Podniósł rękę, wskazując mój telefon i pokiwał palcem, jak Dikembe Mutombo po udanym bloku. Jęczał przy tym:

- Neeee...

Zrozumiałem, że mam nie dzwonić. A dupa tam, potem mnie posadzą za zaniechanie pomocy. Zadzwoniłem. Jeden sygnał, drugi. Koleżka w aucie, które z nim w dachu wyglądało jak metalowa kołyska z berbeciem, machnęła palcem i komórka zdechła. To już zaczynało się robić nienormalne.

- Neeee... – zarzęził.

- Panie, powinienes pan nie żyć. Muszę zadzwonić.

- Neeee... dzwoooń... Pooomóż... mi wstaaać – z trudem wypluwał kolejne słowa.

Podszedłem do typa z dużą dozą ostrożności. Ludzie po takich wypadkach mogą być w szoku i robić dziwne rzeczy. Słyszałem, jak jeden koleś, któremu urwało rękę, zamiast dać się opatrzyć, zaczął jej szukać. Ratownicy poczekali, aż zemdleje z upływu krwi, i wtedy go zabrali do ambulansu.

Ludzie patrzyli na mnie, jak na nadprzyrodzone zjawisko na ich własnym podwórku. Jak raz, teraz wszyscy mnie widzieli. Przez dwadzieścia lat byłem dla nich jak duch, a teraz stałem się głównym aktorem w przedstawieniu ich życia. Ktoś tam na górze złośliwie skierował na mnie wszystkie jupitery. W tej chwili znowu z żalem pomyślałem o niewidoczności, która, choć irytująca i frustrująca, gwarantowała mi względny spokój.

Wsparłem skoczka ramieniem i pomogłem mu wygramolić się z „kołyski”. Stał niepewnie, a gdy upadł na kolana, pomogłem mu usiąść i kategorycznie zabroniłem stawać. Sprawiał wrażenie całkowicie sprawnego na umyśle, żadnego szoku, pytał: „Gdzie ja jestem?” i tym podobnych. Gdyby nie kłopoty z równowagą i parę siniaków, można by pomyśleć, że spadł na poduszkę, a nie na dach toyoty.

Coś mi tu mocno nie pasowało. Jedyne logiczne, w miarę racjonalne wytłumaczenie mówiło, że oto byłem świadkiem pieprzonego cudu, o którym mówią w wiadomościach, czyta w gazecie lub w sieci. „Młody mężczyzna spadł z ósmego piętra i przeżył”, „Pijany bezdomny wyszedł z wypadku bez szwanku”, „Dziecko wypadło z okna, odbiło się od markizy i wpadło w ręce lekarza”, lub coś w tym stylu. Choć nadal było to grubymi nićmi szyte. Powinien mieć złamania, wewnętrzne obrażenia, nie żyć. Kaskader? Eksperyment? W sumie Batman w jednym z filmów miał gadżety pozwalające na zeskakiwanie z kilkupiętrowego budynku, kto wie, może ktoś już coś takiego wymyślił i nie jest to magia kina? Gość był bogato odziany, pewnie mógł sobie pozwolić na taką zabawkę. Spojrzałem mimochodem na jego łydki. Wydawało się, że pod spodniami ma tylko ciało, żadnych bajerów. Dziwne.

Po piętnastu minutach przyjechał ambulans. Oczywiście ratownicy nie pozwolili mi pojechać, ale nie musieli. W naszym miasteczku był tylko jeden szpital, gdzie niezwłocznie się udałem. Potrzebowałem tylko dobrej bajki, żeby mnie wpuścili.

~*~

Na oddziale urazowym nie spostrzegłem pracowników. Żadnego ordynatora, pielęgniarki, nawet salowej. Nie przejąłem się tym zbyt, w zasadzie było mi to na rękę. Pozostawało odnaleźć salę.

Pomieszczenie wyglądało jak przedsionek kostnicy – wszędzie aseptyczna biel. Jako odwiedzający miałem to szczęście, że do mojego ciała nie przyczepiono rurek kroplówkowych, które bardziej przypominały łańcuchy niż strumienie podające życiodajne płyny. Na podobnym do katafalku łóżku leżał tajemniczy skoczek. Garnitur zastąpiła szpitalna piżama, ze starannej fryzury został jeden wielki kłak. Uśmiechał się, jakby poprzedniego dnia nie spadł na samochód, tylko do basenu z półnagimi ciziami.

- Cześć, Jacek – powiedział.

Stanąłem w miejscu i tkwiłem nieruchomo, jak tysiącletni dąb. Skąd zna moje imię?

- Yyy... cześć?

- Pewnie zastanawiasz się, czemu żyję, co ukatrupiło ci komórkę, dlaczego nikogo tu nie ma i skąd znam twoje imię, prawda?

Tylko pokiwałem głową.

- Otóż jestem Adirael, twój anioł stróż.

Jakby mi było mało wrażeń. Świr w szpitalnej piżamie, który wzorem cygańskich mistrzów kuglarstwa zna moje imię i nawet nie chce za to piątaka, odcina łączność w moim telefonie i bez większego uszczerbku spada na furę oznajmia mi, że jest moim aniołem stróżem. Rewelka. Miałem ochotę zadzwonić po śmiesznych panów z kaftanami i strzykawkami, niech zrobią porządek. Najgorsze jednak było to, że jakaś niedorobiona, niewłaściwie uformowana cząstka mojego mózgu dawała mu wiarę. Anioł stróż? Od kiedy ci goście schodzą z Nieba w tak oryginalny sposób? Nie mógł wziąć sobie spadochronu? Albo samolotu? Albo w ogóle zlecieć tu na skrzydłach?

- Nie mogłem – powiedział.

O kurwa.

- Co proszę? – wydukałem.

- Nie mogłem tu zlecieć. Procedury. Jeśli schodzę na Ziemię, wyrzekam się anielskości i wiodę żywot jak człowiek. Nie mam skrzydeł, aureoli, tylko resztki mocy niebieskich, które pomagają mi radzić sobie na tym łożu padole. To tak zwany Upadek.

- Upadek? To by się zgadzało, upadłeś na głowę.

Jego twarz przyozdobił dobroduszny uśmiech pracownika Opieki Społecznej na chwilę przed oznajmieniem, że petent przekroczył kryterium dochodowe o dziewięć złotych.

- Nie upadłem, a procedura właśnie tak się nazywa. Jeśli ktoś z nas ma dosyć wieczności lub uznaje, że ma do załatwienia ważny interes na Ziemi, idzie do Studni i wskakuje. Upadek w dużej mierze jest losowy, ale mocą cudów z Nieba anioł nie ginie w jego trakcie, a obrażenia szybko się goją. Jakbym poszperał, wskazałbym ci kilka przypadków,

gdzie tajemniczy mężczyzna spada z dużej wysokości i szybko wraca do zdrowia, a potem dokonuje czegoś nadzwyczajnego.

- Jakbym poszperał, to bym ci znalazł parę cudów, o których żeście nawet w Niebie nie słyszeli.

- Nie doceniasz naszej potęgi i wszechwiedzy, człowiecze – powiedział poważnym, przekonującym tonem, który poważnie nadwerężył mój brak wiary.

Od faceta emanowała... aura wiarygodności, która kazała brać na serio jego słowa, choćby tak niesamowite, jak te przed chwilą. Miałem trudności z zaufaniem niby-niebiańskiemu koleżce. Jeśli to wkręt? „Mamy cię”, „Goło i wesoło” albo coś w ten deseń? Jeśli gość zaraz wstanie z leżanki, zrzuci piżamkę i zacznie tańczyć kankana? A później zobaczę swoją zaskoczoną mordę w telewizji.

Chociaż... Przełamanie bariery niedostrzegalności było całkiem przyjemne. Ktoś do mnie mówił bez obrzydzenia w głosie, patrzył na mnie, zainteresował się moją osobą. Naturalnie szkoda, że to nie babka, ale z tego, co mówił, wynikało, że aniołowie, to sami faceci. Nie dziwota, że mają tę Studnię, sam bym w nią wskoczył, jakbym miał całą wieczność spędzić bez kobiety. Ale z drugiej strony i tak ku temu zmierzałem. Skoro oni żyją w miejscu, gdzie kobiet nie ma, to pewnie za nimi nie tęsknią. A może nie mają „ródzki”, żeby je czarować?

- Masz rację.

A żeby cię!

- Co proszę?

- Nie mamy ródzki, ani w ogóle ciała. Istniejemy, jako byty, ale nic poza tym. Wiemy, jak czarować kobiety, jako że nasza wiedza nie zna granic. Czerpiemy z mądrości Boga, który nam jej użycza.

- Bajer – westchnąłem z podziwem. Gość miał w sobie coś niepojętego. Odbierałem go, jak boskiego posłańca, chrześcijańskiego Hermesa, który niesie Ewangelię w sposób niemożliwy do odrzucenia. – No dobra, załóżmy, że jesteś aniołem. Stróżem. Moim. Po co zleciałeś na Ziemię?

- Źle ci się wiedzie, mój drogi. Zszedłem na Ziemię, żeby ci pomóc. Niebawem możesz być zagrożony. Ktoś czyha na twoje życie. I duszę.

- Moje? Niby czemu? Tyle ludu na świecie...

- Wbrew pozorom pozyskanie duszy śmiertelnika nie jest takie łatwe, jak mogłoby ci się wydawać. Diabeł nie ma prawa do każdego grzesznika. Część z nich otrzymuje sakrament Namaszczenia i z „dziką kartą” przechodzi do Nieba. Szatan wobec tego usilnie poszukuje

samobójców, ludzi łatwych do złamania i przywiedzenia na skraj życia, skąd wystarczy krok, by runąć w przepaść. Jesteś dobrym celem. Matka zmarła przy porodzie, ojciec cię nienawidzi. Wystarczy roztoczyć czar ignorowania i staczasz się, spadasz prosto w jego objęcia.

- Więc... To... To, że ludzie mnie tak olewają... To jego sprawka?

- Owszem.

Wszystko jasne. To nie mój wygląd, charakter ani aura powodowały, że ludzie traktowali mnie niemalże jak powietrze. Śmierzące powietrze. Sprawka Szatana. Świetnie. Anioł spadł mi z Nieba.

- Niebezpieczeństwo nie minęło – kontynuował Adirael. – Diabły wywęszyły, że otrzymasz pomoc, a to, czy staniesz się ich zdobyczą, stanęło pod znakiem zapytania. Dwadzieścia lat pracy poszłoby na marne. Należy się więc spodziewać bardziej bezpośredniego ataku. Dlatego tu jestem. Chcę cię obronić. Poza tym, czas, byś stracił dziewictwo.

- Yyy... co?

- Dziewictwo. Nie udawaj, że nie wiesz, co to jest. Towarzyszy ci od dwudziestu lat.

- Ale czy anioły nie powinny jakoś...

- Co? Pchać ku dobremu? Zajrzyj w głąb siebie. Co dla ciebie dobre? Wiekuisty celibat czy bara-bara od czasu do czasu? Życie w cieniu czy wśród nagich piersi?

Nie musiałem mówić na głos. Odpowiedź wydawała się oczywista.

- Źle postrzegasz Raj. Myślisz, że to miejsce bezkresnie dobre, poprawne, taki pięciogwiazdkowy hotel, kurort dla duszy i w pewnym sensie tak jest. Jednakże czymże byłby najwspanialszy kurort dla człowieka, który wraz z ziemskim życiem traci to, co kocha? W Raju, jak już się tam dostaniesz, możesz robić to, co najbardziej lubiłeś na Ziemi. Jest to nawet wskazane. Jeśli zatem lubisz towarzystwo kobiet, to ci go nie zabraknie. Jeśli przepadasz za piwkiem, to niebiański browar będzie twoim domem i tak dalej. Każdy tworzy własną definicję Raju.

Faktycznie. Gość mówił całkiem do rzeczy. Nieco kłóciło się to z moim zbudowanym w katolicyzmie światopoglądem. Ale czy którykolwiek z natchnionych amboniarzy był w Niebie? Który z nich ma wiedzę z pierwszej ręki, jak Adirael? Ilu duchownych głoszących idee zbożnego żywota trafi do Piekła? Najpierw krzyczą i pioruny ciskają, że seks przed ślubem to grzech, a potem sami obracają ministrantów. Chyba że chodzi im o śluby kapłańskie. Pieprzona hipokryzja.

Ale czy wina jednych wyłącza winę drugich? Czy fakt sprzeniewierzenia się księży propagowanym przez nich zasadom usprawiedliwia grzech innych? Czy to, że pleban molestuje chłopca w zakrystii zmazuje ze mnie przewinę szóstego przykazania?

„Nie cudzołóż”, „cudzo” i „łóż”. Wynikałoby z tego, że dopóki nie wejdę do cudzego łóża, grzechu nie będzie. Wystarczy ściągać fruzie na moją kwatere. W ogóle kto powiedział, że trzeba to robić w łóżku?

- W porządku – rzekłem.

- Świetny wybór. Nie pożałujesz. A teraz chodźmy. Czas zacząć nowe życie.

~*~

Adi wypisał się na własną prośbę. Lekarz spojrział na niego, potem w kartę choroby i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pacjent zleciał najprawdopodobniej z wysokości kilku pięter i nie dość, że nie odniósł większych obrażeń, to następnego dnia wypisywał się na żądanie. Doktor przedziutko postawił parafkę, jakby się bał, że ma do czynienia z siłą nieczystą.

Dwa tygodnie później będąc wodzirejem na jednej z imprez, spojrziałem w lustro w ubikacji. Kim byłem? Królem. Dyskotek, nastolatek, potańcówek, świata, wszechrzeczy. Czuję, jakbym chwycił Boga za nogi i dostał od niego namiastkę Nieba na Ziemi. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno postrzegano mnie, jako niewartego uwagi wypierdka jednego z mniej przyszłościowych kierunków uniwersyteckich. A teraz?

Adi usunął mi trądzik swoimi anielskimi mocami. Zadbalem o kilkudniowy zarost, który niebywale dodawał mi uroku (tak mi mówiono), elegancka koszula i dopasowane do niej spodnie. Na lewym nadgarstku gustowny zegarek. Szykowne buty, których nie powstydzilby się włoski mafioso. Na nosie okulary potrzebne mi jak łysej odżywkę do włosów, ale pasujące i przydające mi optycznego intelektu. Patrzyłem na siebie i byłem dumny. Przepoczwarzyłem się z nieudacznika w gościa rodem z okładki poradnika: „How to be handsome”.

Choć raz wiedziałem, że stypendium naukowe przeznaczyłem na właściwe cele.

Kiedy zmieniłem wygląd na bardziej wyjściowy, Adirael nauczył mnie, jak rozmawiać z kobietami i w jaki sposób je traktować.

A one? Początkowo, gdy zaraz po przemianie przyszedłem na zajęcia, obdarzały mnie spojrzeniem, jakim patrzy się na ciastko w cukierni i to nie zwykłym: „Zjem cię”, lecz przeciągłym, lubieżnym, ostentacyjnym: „Będę cię kosztować powoli, najpierw zlizę lukier a

potem zacznę delikatnie skubać”. Potem nabrały nieco dystansu, gdy podczas sprawdzania obecności wyszło na jaw, kim jestem, a raczej kim byłem. Wyraz zdumienia na ich wytapetowanych buźkach był nie do opisania. Zdziwko, jakby nie oglądały tandetnych programów żywcem wziętych z MTV, w których z paszteta robi się ciacho.

Nieoczekiwanie pierwsza w moje łapy wpadła Monika. Przeprosiny wykorzystała jako pretekst do zbliżenia. Zgodnie z zaleceniami Adiraela udawałem obrażonego przez tydzień. Po siedmiu dniach dorwała mnie przed wykładem, zaciągnęła do kibla, kazała zdjąć z niej majtki i się nią zająć. Gdzież śmiałym jej odmówić? Nie rozmawiamy, odkąd na pytanie: „Jak mi poszło?”, odpowiedziałem: „Mogłaś się bardziej przyłożyć”. Chyba nie myślała, że po numerku w ubikacji wyciągnę pierścionek i poproszę ją o rękę?

Potem lalki z dawnej „za wysokiej ligi” uzupełniały kolekcję jedna po drugiej. Nawet nie musiałem polować, same wpadały w moje sidła. Byłem płytki? Niekoniecznie. Czyż plantator po latach suszy nie prowadzi zbiorów na ogromną skalę? Czy dzieciak po kupieniu gry nie zarzyna komputera od rana do nocy? Byłem właśnie takim dzieckiem, któremu przez całe życie odmawiano pewnej rzeczy, a teraz miał jej aż nadto. Brałem, co mi dawano. Szczegół, że przeważnie dawano mi dupy.

Spojrzałem za siebie w kierunku sali, gdzie bawiła się setka kompletnie obcych mi osób. Martwił mnie ogrom kurestwa czekającego za tymi drzwiami. Młode dziewczęta, niektóre jeszcze w liceum, które poprzez notoryczne ściąganie majtek chciały być dorosłe i swą dorosłość zmanifestować. To straszne z jak niskich pobudek panienki idą w miasto, by zaznać nocnych rozkoszy. Jedne upatrują w tym sensu życia, inne korzyści materialnych, jeszcze inne awansu towarzyskiego. Są też takie, które nie mają co zrobić z czasem, więc rekreacyjnie użyczają swojego ciała. Łatwy cel dla ludzi potrafiących taką słabość wykorzystać. Nie dla mnie. Po szkole Adiraela nie musiałem żerować na słabościach.

Wróciłem na salę i stanąłem przy barze. Zamówiłem drinka. Ze szklanką wypełnioną rudawą cieczą odwróciłem się i obserwowałem. Klub był raczej średnich rozmiarów o równie średniej popularności. Zajrzałem, bo miałem blisko. Wewnątrz ujrzałem dym pośród tańczących, który cholera wie czemu ma służyć, a paskudnie gryzie w oczy. Błyskające światła różnorodnych kolorów powodowały wymioty u podpitych klientów. Z muzyki nie byłem w stanie wyłowić niczego sensownego, zupełnie jakby w mojej głowie coś siedziało i tłukło młotem w czaszkę. Na parkiecie między wyszpachlowanymi, tlenionymi paniusiami gibali się kolesie w rurkach, na stopach mieli wielkie buty, koniecznie niezasnurowane. Mierzyłem czas do momentu, aż któryś z nich wyrznie na niemęską buźkę.

I wtedy podeszła do mnie dziewczyna. Niezbyt ładna, miała jakiś taki pokraczny uśmiech. Na czubku głowy czarniawe odrosty wzywały spod wściekle rudych włosów. Oczy pały pożądaniem. Ciuchy jak u tirówki i to przechodzonej. Wymemlane, rozchelstane i wyzywające. Kabaretki z zauważalnymi dziurami, krótka, skórzana spódniczka ciasno opinająca jej tyłek, kurtka dzinsowa z brunatną plamą, przypominającą butapren i zwykła bluzka z nadrukiem, którego pewnie nie rozumiała. „SWAG”. Siłą powstrzymałem się, żeby nie parsknąć śmiechem.

Podeszła i powiedziała głosem salonowej kocicy:

- Cześć, przystojniaku. Postawisz mi drinka?

Otaksowałem ją wzrokiem, policzyłem dziury w kabaretkach i odpowiedziałem nonszalanckim tonem:

- A co? Przewrócił ci się?

Zbiłem ją z tropu. Nie nawykła do ciętych ripost. Pewnie przewidywała tekst: „Tak, lalu, chcę cię wydupczyć”. Zbierała myśli z miną, jakby wysiłek umysłowy sprawiał jej ból. W końcu zdołała skonstruować odpowiedź:

- No tego... Nie, ale wypiłby coś, a miałam tylko na bilet – bąknęła markotnie, przybierając minę Kota w Butach ze „Shreka”.

- No to z barmanem się nie zapoznasz... – Pociągnąłem łyk ze szklanki, opróżniając ją, odstawiłem na bar i kiwnąłem na elegancika, żeby mi go uzupełnił. – Spoko koszulka – powiedziałem.

- Fajna? – Rozpromieniła się.

- Wiesz, co znaczy skrót „SWAG”?

- Nie.

- „Secretly we are gay”. – Panienska nie znała angielskiego. – „Potajemnie jesteśmy gejami”.

Dziewczyna nie wiedziała, co ze sobą zrobić. W tamtym momencie zaczęło do niej dochodzić, że nici ze sponsoringu na dancingu. Nie będzie seksu, wspólnej nocy i: „Misiu, kupisz mi bluzeczkę?”. Odeszła. Chwilę potem widziałem ją, jak wychodzi z jakimś fajansiarzem, któremu rozpięcie o wiele na niego za ciasnych spodni sprawiłoby pewnie więcej trudu niż zaciągnięcie jej do łóżka.

A ja? Zostałem i obserwowałem, jak sokół na grani w oczekiwaniu na zdobycz. Małą, nieuważną, apetyczną myszkę, której grzech nie schwytać.

Kac nie był mi straszny, gdyż dzięki mocom Adiraela „kryzys dnia następnego” mnie nie napotykał. Anioł uznał, że mam znaczne zaległości w baletach, a niezbyt alkoholowy by mi przeszkadzał.

Musiałem przyznać sam przed sobą, że zacząłem żyć. Pozbyłem się wstrętnego poczucia, że życie przecieka mi między palcami. Kobiet nie brakowało. Pieniądzy także, od chwili, gdy zacząłem prowadzić kurs podrywu. Cała masa beznadziejnych przypadków płaciła mi grube sumy za ukazywanie im drogi wiodącej między nogi. Zapożyczali się, przepuszczali wypłaty, wyciągali oszczędności, a potem opowiadali, że spełniają marzenia. I jak to robią.

Czyż to nie Raj? Nie dość, że sam odmieniłem swoje życie, to jeszcze pomagałem uczynić to innym, wspierałem ich dążenie do realizacji marzeń. Czuję się z tym rewelacyjnie, jak ktoś, kto ma misję niesienia możliwości zaspokojenia seksualnego. Jak grany przez Willa Smitha Hitch. Doktor Randka. Dwudziestoletni guru uwodzenia. Dla tych mężczyzn to ja byłem aniołem stróżem.

Adirael nic nie robił, tylko towarzyszył mi i patrzył, jak opływam w szczęście, którego Los mi tak długo odmawiał. Pewnego dnia zabrał mnie na spacer. W trakcie marszu rozpoznałem ulicę, na której wszystko miało początek. Upadek, szpital, transformacja. Przypomniałem sobie miejsce, w którym stałem i gdzie zaparkowano samochód zmiądzony przez spadającego anioła.

Adi zaprowadził mnie na dach jednego z budynków. Stał na krawędzi i spojrzał w dół. Dziesięć pięter jak nic.

- Ładny widok – rzekłem. – Po co mnie tu przyprowadziłeś?

Milczał przez chwilę, patrzył na ulicę i uśmiechał się tajemniczo. Jeszcze go takiego nie widziałem.

- Tutaj wszystko się zaczęło – odpowiedział – i tutaj się skończy.

- Co zaczęło? I co skończy?

- Serio? – Spojrzał na mnie. W jego oczach tańczyły płomyki gniewu. – Naprawdę jesteś taki głupi?

- Adi, co z tobą?

- Ech, ludzie – pokiwał głową z rezygnacją. – Nic dziwnego, że tylu trafia na Dół. – Z kabury pod pachą wyjął pistolet i wycelował w moją pierś. Znieruchomiałem, jakbym nagle zapuścił korzenie w beton.

- Co ty robisz?

- Kończę moje dzieło.

Niczego nie rozumiałem. O czym on pieprzył? Jakie dzieło? Czemu je kończy? I dlaczego do cholery mierzy do mnie z pistoletu?

- Jakie dzieło do diabła?!

- Dzieło potępienia. Teraz zginiesz. Zabiję cię i pójdziesz prosto do Piekła. Tutaj nikt nie udzieli ci sakramentu Namaszczenia. Zginiesz, a ja zabiorę twoją duszę.

- Skąd pewność, że do Piekła? – oburzyłem się.

Śmiech podłego zdrajcy wypełnił moje uszy. Rżał, jakbym opowiedział mu kapitalny dowcip.

- Naprawdę? Nie wiesz? Przypomnij sobie ostatnie kilka tygodni od naszego spotkania do dziś. Ile nagrzeszyłeś? Uważasz, że masz szansę na Niebo? Idziesz ze mną.

Strzelił. Przed moimi oczami rozblęsnęło jaskrawe światło, jakby ktoś zaświecił wielką ksenonową lampę. Całkowicie oślepiłem i na moment moje myśli uciekły poza czaszkę. Usiłowałem ściągnąć je z powrotem. Daremnie. Co to było? Umierałem? Tak wygląda śmierć? Spodziewałem się raczej światełka na końcu tunelu, a tu światło wypełniło całą przestrzeń, jakby ciemność zniknęła raz na zawsze, jakby cały świat zniknął. Lekki ruch powietrza łaskoczący moją twarz zdradził mi, że on nadal istnieje. Smród prochu strzelniczego drażnił zmysł węchu i wypełniał żołądek nieprzyjemnym uczuciem, które ostrzegało przed wymiotami. Żyłem? Demon strzelił do mnie, ale ja żyłem? Jak to możliwe?

Światłość zaczynała rzednąć. Zobaczyłem najpierw dymiący koniec lufy i uhanego diabła. Potem poczułem, że coś upada pod moje nogi. Ujrzałem czarnowłosą kobietę w średnim wieku. Jej piękną twarz zdobił radosny uśmiech. Z piersi sączyła się krew. Przyjęła przeznaczoną dla mnie kulę.

Adi też to zobaczył i nie był zadowolony. Wesołość zniknęła z jego parszywej gęby.

- Na Siedem Piekieł! – zaklął. – Chociaż... Jakby tak pomyśleć, to dobrze na tym wyjść. – Popatrzył na mnie. – Właśnie doprowadziłeś do śmierci swojego anioła stróża. Prawdziwego. Właściwie powinienem dokończyć dzieła, ale wierzę, że zrobisz to za mnie. Dwie pieczenie na jednym ogniu, hah!

Zniknął. Patrzyłem za nim, jakby zabrał ze sobą moje życie i tak się czułem.

Pochyliłem się nad kobietą leżącą u mych stóp.

- Zadzwoń po pogotowie – powiedziałem. – Wszystko będzie dobrze.

- Już jest – odpowiedziała słabym głosem – synku.

Jej ciało zalśniło blaskiem podobnym do tego, który przed chwilą mnie oślepił. Jasność otoczyła zwłoki, które zaczęły rozpadać się na miliardy drobnych kawałeczków. Kilka uderzeń serca potem przestały iskrzyć i rozsypały się jak zamek z migocącego piasku.

- Jacku – usłyszałem za sobą i podskoczyłem zaskoczony.

- Człowieku! Przed chwilą do mnie strzelano! Nie skradaj się jak cholerny skrytobójca!

Spojrzałem na nieznanego. Miał długie włosy, jego głowę otaczała migotliwa poświata aureoli. Strząsnął niewidzialny pyłek z garnituru, który sprawiał wrażenie utkanego z lustra. Do dziś nie wiem czy odbijał padające światło, czy świecił własnym. Odchrząknął, gładząc się po bródce a la heavymetalowiec, i powiedział:

- Jestem archanioł Gabriel, posłaniec boski.

- Co? Przyszedłeś mnie nauczyć bajerować chłopców dla odmiany? – odwarknąłem. Miałem dość aniołów jak na razie.

- Nie. Nie poddałem się procedurze Upadku. Zostałem wysłany przez Pana, żeby wyjaśnić ci kilka kwestii, które pewnie dręczą twój umysł.

- O tak – powiedziałem opryskliwie. – Ciekawi mnie, czy złota rybka istnieje i kto jest ojcem Pablita, ale w pierwszej kolejności chcę wiedzieć, co tu się, kurwa, dzieje?!

- Nerwy są zbędne. Wszystko cierpliwie ci wyjaśnię. Pytaj.

Skłębione w głowie pytania przywodziły mi na myśl samców anakondy skotłowanych wokół samicy. W jednej chwili chciałem zadać któreś z nich, w następnej już inne pragnęło opuścić moje usta. Patrzyłem w oczy archanioła i nie wiedziałem, od czego zacząć.

- Dlaczego moje życie tak wygląda? Dlaczego byłem niewidzialny?

Gabriel przecesał włosy i zaczął mówić:

- To zasługa twojej matki.

- Mojej... co? – Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

- Twojej matki. Ona była twoim prawdziwym aniołem stróżem. Podczas porodu, przyszedłem jej obwieścić, że umrze albo ona, albo dziecko. Oddała swoje życie w zamian za twoje. Zadałem jej standardowe pytanie – czy chce być aniołem i czuwać nad synem? Wyraziła zgodę. Przez niemal całe twoje życie sprawiała, że ludzie cię ignorowali. W przeciwnym razie źle by się to dla ciebie skończyło. Ojciec nienawidził cię, obarczał winą za śmierć żony. Pewnego dnia zakatowałby cię i nawet nie wyprawił pochówku. Rówieśnicy wysmialiby cię, bo nie masz matki i jesteś sierotą. To by zaowocowało samobójstwem. Po akcji z ogniskiem trafiłbyś do poprawczaka, gdzie inny wychowanek wbiłby ci nóż pod żebra.

- Skąd to wiesz?

- Ze szklanej kuli. – Popatrzył na mnie protekcyjnie.

- Jasne.

- Głupie pytanie – głupia odpowiedź.

Faktycznie. Koleś od wieków zwiastuje różne rzeczy, a nie wiedziałby, co się ze mną stanie. Idiotyczne pytanie.

- Dlaczego... Adirael...

- Diabły miały przeciek. Dowiedziały się, że szczęśliwe wydarzenie w twoim życiu odwiedzie cię od samobójstwa. Postanowiły interweniować. Adirael upozorował Upadek, zwiódł cię, namówił do grzechu, wielu grzechów, a na koniec postanowił zabić, żeby udaremnić ci odpuszczenie win. Nie przewidział, że twoja matka poprosi o Upadek, przybierze postać cielesną i cię uratuje.

- To nie mogła wcześniej?

- Widzisz – westchnął – to nie taka prosta decyzja. Anioł może tylko raz w ciągu wieczności poprosić o Upadek. Jeśli zginie, odchodzi na wieczność. Nie ma go ani w świecie żywych, ani w Niebie. przestaje istnieć.

Matka. Oddała za mnie życie. Dwa razy. Dwukrotnie umierała, bym mógł żyć i jak się odwdzięcam? Bajeruję niewinne, naiwne nastolatki, lekceważę studia, mitrzę jej dar. Słucham demona. Miałem ten instynktowny tik mózgowy, który dziobał mój umysł zdaniem: „To pułapka!”. Gość nie pasował do wizerunku anioła, lecz wizja nagich panienek przesłoniła mi prawdę. Byłem zdesperowany. Tylko czy to mnie usprawiedliwia? Czy cel istotnie uświęca środki? Nie w tym przypadku. Dłuuuugo będę pokutował.

- Wróci?

- Oh, będzie chciał, ale czy mu na to pozwolisz? Musisz być czujny. Nie objawi ci się, jako elegancki pan w garniturze. Uszczyplnie cię w rozum pokusą, szepnie do ucha: „Zrób to, przecież tego chcesz”. Każda myśl nawołująca do popełnienia grzechu, to szept demona. Pytanie brzmi: usłuchasz?

Znałem odpowiedź.

- Ostatnia sprawa – powiedział archanioł. – Jak mnie nużą te urzędnicze pierdoły – przewrócił oczami, jak panienska z okienka w ZUS-ie – ale procedury to procedury. Czy zechcesz zastąpić matkę, jako anioł stróż?

Zatkało mnie. Takiej propozycji bym się nie spodziewał. Nie miałem pomysłu, co odpowiedzieć. Spojrzałem w niebo i wtedy mnie olśniło.

- Nie, dziękuję. Może po śmierci – obdarzyłem anioła ciepłym uśmiechem. Odwzajemnił go. – O ile jest taka opcja.

- Naturalnie. Bylebyś tej śmierci nie przyspieszał.
- Nigdy w życiu – ponownie się rozpromieniłem w radości. – Mam lepszy pomysł.
- W takim razie z Bogiem, Jacku.
- Z Bogiem, Gabrielu!

Zeszedłem z dachu i poszedłem w stronę uczelni. Musiałem się wykreślić z listy studentów bezprzyszłościowego kierunku.

~*~

Zacząłem nowe życie. Wreszcie miałem tę błogą świadomość, że odnalazłem moją drogę w życiu, sens, do którego inni ludzie nawet się nie zbliżą. Do dziś rozmyślam o latach minionych, tym, co mnie spotkało na pierwszym roku studiów i późniejszych wydarzeniach. To niesamowite, w jaki sposób potrafią objawić się nam nasze losy.

- Księżę Jacku – z zadumy wyrwał mnie głos siostry Leokadii, recepcjonistki w podeszłym wieku. – Przyjechała ta nękana dziewczyna na egzorcyzm.

- Poproś ją.

Do pokoju weszła panienka, którą przed rozpoczęciem nauki w seminarium mógłbym się zainteresować. Wyglądała na licealistkę. Niewinna twarz zdradzała zmęczenie, jakie wywoływała obecność demona w jej życiu. Skromne ubranie dodawało jej uroku, jednak widziałem w oczach, że daleko jej do bycia duszą towarzystwa i najbardziej pożądaną łanią w stadzie. Mogłem się założyć, że mają ją za dziwaka. Jeżeli miałem chociaż trochę ulżyć jej w cierpieniu, musiałem dołożyć wszelkich starań, żeby wypełnić obowiązek egzorcysty.

Za oknem zobaczyłem znajomą, wypucowaną, podłą twarz. Znałem go. Zawdzięczałem mu szczęście, jakie teraz było moim udziałem i możliwość niesienia pomocy udręczonym. Mogłem mu podziękować. Zamiast tego pokazałem środkowy palec i przystąpiłem do obrzędu. Żaden demon nie dobierze się do niewinnej osoby na mojej warcie.

Amen.